



BOLESŁAW PRUS

**WOJNA
I PRACA**

Bolesław Prus

Wojna i praca



Fundacja FESTINA LENTE

Rozdział I

Gdzieś na Oceanie Spokojnym leży wyspa owalnego kształtu, długa na dwieście, szeroka na sto kilometrów. Pasma gór dzieli ją na dwie nierówne części, południową i północną. Część północna, najeżona dzikimi skałami, miała niegdyś grunta jałowe albo bagniste, ubogą roślinność, dużo zwierząt drapieżnych i jadowitych gadów, a powietrze nasycone wilgocią, wśród której wałęsały się niebezpieczne gorączki. Za to część południowa wyspy miała prawo nazywać się rajem ziemskim.

Była to miejscowość poprzecinana mnóstwem rzeczulek, ozdobiona wzgórzami i dolinami, nad którymi unosi się wieczna wiosna. Niby w ogrodzie botanicznym żyje tam wiele tysięcy roślin, które dostarczają drzewa na budowle, włókien na tkaniny, barwników, lekarstw, pachnideł, a nade wszystko materiałów pokarmowych. Trudno byłoby policzyć wszystkie odmiany jagód, orzechów, owoców, przypominających jabłka lub ananasy, daktyle i słodkie kasztany. Samych roślin, wydających mączkę, istnieje około trzydziestu gatunków.

Mniej obfitym jest świat zwierzęcy. W każdym razie znajduje się tyle jeleni, zajęcy, owiec, a dalej — bażantów, kuropatw, gęsi i kaczek, nareszcie —

pstrągów i łososi, że mieszkańcy tamtejsi na brak mięsa nie mogli narzekać.

Północną, ubogą część wyspy zamieszkiwał naród dziki. Byli to ludzie czarni, nędzni, o niskich czołach, grubych wargach i nozdrzach zwierzęcych; mieszkali w jaskiniach albo w szałasach z gałęzi, utrzymywali się z myślistwa i rybołówstwa, a wymierali albo z głodu, albo z gorączek. Niegdyś zaludniali całą wyspę, ale przed kilkoma wiekami napadnięci przez inny, silniejszy naród, zostali częścią wytepieni, częścią wygnani do północnych okolic.

Od tego czasu południową stronę zajęli triumfujący najeźdźcy. Był to lud barwy brązowej, odznaczający się piękną postawą i niezwykłymi zdolnościami. Dzielił on się na dwie kasty: Majungów i Androwanów, czyli panów i podwładnych. Panowie mieli cerę jaśniejszą i greckie rysy twarzy; podwładni mieli fizjognomie pospolitsze, wyższy wzrost i silniejsze mięśnie. Oni to zajmowali się uprawą jarzyn, hodowlą drzew owocowych i roślin mącznych; oni polowali na zwierzyne, tkali i szyli odzież, budowali domy, wyrabiali naczynia i sprzęty; oni trudnili się handlem i przenoszeniem towarów.

Na panach ciążył jeden tylko obowiązek: walczenia z nieprzyjaciółmi. Ale ponieważ nieprzyjaciół nie było na wyspie, więc panowie musieli w inny sposób zużywać swoje siły. W tym celu za każdą odmianą księżycy wykonywali wspaniałe tańce wojenne, a w dnię zwykłe uczyli się grać na harfie i flecie, układali poematy na cześć bohaterów przodków albo z

różnokolorowych piórek czy kamyków układali obrazy, przedstawiające znakomitsze wypadki dziejowe.

Były to niepospolite wydarzenia: walki z olbrzymami, tępienie smoków, oswabadzanie pięknych księżniczek z rąk czarodziejów... W hołdach składanych przodkom każde pokolenie starało się wyścignąć poprzedników, dzięki czemu liczba bohaterów mnożyła się tak, że trudno było zapamiętać ich nazwisk, olbrzymy stawały się coraz ogromniejsze, czarownicy coraz brzydsi, a smoki miały coraz większą ilość głów.

Muzyka, tańce, malowanie i opiewanie chwały przodków, tak zapełniały czas Majungom, że żaden z nich nie tylko nie chciał, ale nawet nie potrafiłby sam zerwać owocu z drzewa, sam nakryć do stołu, a choćby przynieść sobie wody ze źródła.

Majungowie tak pogardzali pracą, że jeden z najpopularniejszych poematów był poświęcony bohaterowi, który podróżując, umarł z głodu przy koszu pełnym jada, ponieważ służący zabłąkał się w drodze i nie mógł swemu panu pokrajać ani podać na tacy mięsiwa i chleba.

Między Majungami od czasu do czasu zjawiali się mędrcy, których niepokoiło to lekceważenie pracy przez kastę panów.

— Postacie wasze — mówili do Majungów — są drobniejsze, nogi cieńsze, a ręce słabsze, aniżeli u waszych podwładnych, u Androwanów. A ponieważ jest was mniej, aniżeli ich, więc może nadejść chwila, że Androwanowie nie zechcą spełniać waszych

rozkazów, przestaną wam dostarczać miodowych placków i papuzich języków, a nawet, kto wie, czy nie ośmielą się wypędzić was z bambusowych dworców i ubierać się w wasze szaty, którym tęcza zazdrości kolorów.

Ale Majungowie śmieli się z tych przepowiedni i odpowiadali mędrcom:

— Wasza mowa podobna jest do krakania cuchnących kruków, więc lepiej zamilknijcie, ażeby nie usłyszał was jaki Androwan i mniej dbałem wypełnianiem swoich obowiązków nie naraził się na nasze gniewy... Prawdziwy Majunga nie potrzebuje mieć grubych rąk i wielkiej tuszy, tylko pogardę dla śmierci... Nie pięścią bowiem, ale odwagą sławni przodkowie nasi zwalczali dwunastogłowe smoki i olbrzymów wyższych od palmowego drzewa.

Istotnie, najpierwszą cnotą u Majungów była odwaga. Kto między nimi splamił się tchórzostwem, był nie tylko wyłączony z kasty, ale wyklęty i wypędzony do kraju bagien, jak to czyniono ze złodziejami i mordercami.

Dla podtrzymania w sobie wielkiej cnoty — odwagi, Majungowie cztery razy na rok urządzali igrzyska, podczas których młodzież i starsi, w obliczu dam, popisywali się tańcami, muzyką i hymnami na cześć bohaterskich przodków. Damy sądziły popisujących się. Kto miał największą liczbę głosów, dostawał z rąk najpiękniejszej wieniec róż. Ale kto za swój taniec, grę na harfie lub poemat otrzymał najmniej głosów, ten, według zasad honoru, powinien był

odebrać sobie życie. Nie mogąc być wielkim artystą, zostawał przynajmniej bohaterem drugiej klasy.

Do tytułu bohatera pierwszej klasy miał prawo tylko ten młodzian, który otrzymawszy na igrzyskach różany wieniec i mogąc pojąć w małżeństwo najpiękniejszą dziewczycę, wyrzekał się sławy, wyrzekał się miłości i dobrowolnie umierał. Takim stawiano nagrobki w miejscach publicznych i na ich cześć wyśpiewywano poematy.

Straszliwe igrzyska miały na celu rozbudzać w Majungach pogardę dla śmierci. Zabawom tym namiętnie przypatrywali się Androwani, robili wielkie zakłady na rachunek domniemanych zwycięzców i burzliwie oklaskiwali konających bohaterów. Zabawy te podtrzymywały w nich cześć dla Majungów i utwierdzały w posłuszeństwie. A jeżeli kapryśny pan dokuczył kiedy podwładnemu, Androwan pocieszał się myślą:

— Kto wie, może ten pocziwiec na następnych igrzyskach poderżnie sobie gardło?... W takim razie wszyscy będą pokazywali palcami na mnie, jego sługę, i będą wymawiali moje imię!... Dla takiej sławy warto znieść pańskie fantazje.

Mimo to znowu znalazł się jakiś mądry Majunga, który mówił do swoich:

— Niewątpliwie piękną jest rzeczą rozpruć sobie brzuch w miejscu publicznym; ja jednak wolałbym, ażebyście umieli nie tylko sami krajać, ale nawet piec miodowe placki i gotować papuzie języki.

Wyśmiano go.

Rozdział II

Pewnego dnia zdarzył się na wyspie wypadek niesłychany: zerwała się burza, całą dobę padał śnieg, a w rzeczulkach zamarzła woda.

Przez kilka pierwszych godzin Androwanowie jak opętani biegali po ulicach, ryczeli ze strachu, padali na ziemię i tarzali się w piekącym śniegu. Ale Majungowie nie stracili przytomności: odezwały się bojowe trąbki i wszyscy potomkowie bohaterów, jak jeden mąż, zebrali się na ogromnym placu igrzysk. Tam uchwalono, że położenie jest niebezpieczne i że trzeba ratować społeczność. Więc naprzód z największą precyzją odtąńczono aż dwa tańce wojenne, następnie odśpiewano hymn na cześć bohatera Nizafy, który pokonał największego olbrzyma, potem na cześć przodka Rakoto, który uciął największą liczbę głów smokowi, wreszcie przypomniano zasługi nieśmiertelnego Sekoli, który najpiękniejszą księżniczkę wydarł z rąk najszkaradniejszego czarodzieja. A ponieważ wiatr dął i śnieg padał w dalszym ciągu, więc kilku najznakomitszych harfistów i flecistów odegrało poważny utwór muzyczny, dwu poetów skomponowało dość zresztą słabe poematy przeciw burzy, a nareszcie kilku bohaterów dokonało

aktu poświęcenia się dla ogólnego dobra i własnoręcznie pozabijało się mieczami.

Lecz i teraz śnieg padać nie przestawał. Bohaterscy Majungowie przemarzli wrócili do bambusowych pałaców, a zatrwożeni w pierwszej chwili Androwanowie poczęli odzyskiwać zimną krew. Zapalili ogniska, odzielili się we wszystkie szaty, jakie kto posiadał, dobrze podjedli, napili się wina...

Po upływie doby śnieg przestał padać, ku wieczorowi stopniał, temperatura podniosła się. Wtedy Androwanowie opuścili ciepłe chaty i ostrożnie zaczęli oglądać się po okolicy.

Kłęska była straszna. Wszystkie jarzyny i większa część drzew owocowych przemarzły; pola były zasłane trupami saren, zajęcy i ptactwa, a ocalały tylko niektóre jadalne korzenie i rośliny, dostarczające mąki.

Androwani, zmiarkowawszy, że będzie głód, natychmiast wzięli się do zbierania i starannego ukrywania materiałów spożywczych. Każdy z nich miał żonę, dzieci, niekiedy rodziców, liczył tylko na własną pracę, więc chował, co mógł. A tymczasem Majungowie nie tylko od dwóch dni nie byli obsługiwani, ale nawet nic nie jedli i nie oglądali swoich podwładnych, zajętych ubezpieczaniem własnych rodzin. Jaki taki przypominał sobie legendę o bohaterskim Manitru, który wolał umrzeć z głodu, aniżeli sam krajać sobie chleb i mięso, wnet jednak spostrzegł, że łatwiej jest śpiewać, a nawet tworzyć bohaterskie poematy, aniżeli obywać się bez żywności.

Niektórzy roztropniejsi, nie mogąc doczekać się podwładnych, zaczęli sami zbierać przemarzłe i na wpółzgniłe owoce; inni jednak nie zapomnieli o swojej godności. Na przykład pan Sarahol wezwał podwładnego Banona i krzyknął z gniewem:

— Gdzie ty siedzisz, hultaju, kiedy ja od dwu dni jestem głodny?...

— Pilnuję dzieci, które pochorowały się z zimna...

— Dam ja tobie dzieci! Przynieś mi zaraz miodowy placek, bażanta i dzbanek wina.

— Nie ma placka, nie ma bażantów, nie ma wina
— odparł Banon, rozkładając ręce.

— Więc przynieś mi, co masz.

— Nic nie mam — szepnął podwładny.

Pan Sarahol schwycił za miecz i począł gonić uciekającego Banona. Nieszczęściem na drodze ukazała się Banonowa, która, chcąc ratować męża, rzuciła się na pana. Sarahol zrobił nieostrożny ruch mieczem i ranił kobietę, a po chwili sam upadł. Powalił go Banon, wrzeszcząc wniebogłosy:

— Mordują nasze kobiety!... Mordują matki naszych dzieci!...

Rozdział III

W taki sposób zaczęła się między Majungami a Androwanami okrutna wojna domowa; wywołał ją jeden mroźny wichur, a jej najwyższym celem był kawałek zepsutego mięsa albo woreczek kartofli. Dla kawałka mięsa i garści kartofli mordowano się pojedynczo i kupami, ucinano ludziom ręce, nogi i głowy, miażdżono kości, rozpruwano brzuchy, przebijano piersi, palono całe rodziny etc. Nad sagami trupów i kałużami krwi unosił się głód, który uzuchwalał Androwanów, rozbestwiał ich kobiety, wycieńczył Majungów, a ich piękne żony i córki popychał do samobójstw.

W rezultacie po dziesięciodniowej walce, w której padło kilkadziesiąt tysięcy ludzi, Majungowie, pomimo bohaterstwa, musieli cofnąć się za góry, do przeklętego kraju bagien.

Tam znowu trapił ich głód, dla którego odpędzenia trzeba było jadać korzonki, gady i szczury. W tej nędzy zwołano wielką radę, na której zabrał głos jeden z mędrców.

— Korzonki — mówił — nie na długo nam wystarczą, a nieczyste mięso zatrjuje naszą krew. Musimy więc osuszać bagna, a nowe grunta obsiać użytecznymi roślinami.

Słuchacze nie dali mu dokończyć, a jeden z przywódców zawołał:

— Trzeba być szaleńcem albo zdrajcą, ażeby bohaterskie plemię Majungów zachęcać do tak podłej roboty! Lepiej zginąć, aniżeli zaprzeć się sławnej pamięci przodków...

Oklaski zagłuszyły mówcę, za którego radą wykonano kilka wojennych tańców i odśpiewano hymny na cześć bohaterów, co tępili smoki i walczyli z olbrzymami. Potem najczcigodniejsi z Majungów, wobec ziemi i nieba, przeklęli nikczemnych Androwanów i energicznie zaprotestowali przeciw lekkomyślnym mędrcom, którzy ośmielają się zachęcać rodaków do pracy. Zarówno klątwa, jak i protest były przyjęte oklaskami, po czym jeszcze kilku wystąpiło przeciw nikczemności pracy i małoduszności niektórych mędrców. Ale ponieważ niebo nie zniszczyło zdradzieckich Androwanów, a ziemia nie wydała płodów, jakich w niej nie zasiano, więc po pewnym czasie przywódcy Majungów zwrócili się do potępionego mędrca z prośbą o nową radę.

— Korzonków — mówili — a nawet szczurów ciągle ubywa, więc zanim osuszylibyśmy ziemię, głód nas wymorduje. Powiedz przeto: co czynić?

Mędrzec dał im pewien gatunek grzyba, który odznaczał się wielką plennością; kazał go pokrajać i siać na miejscach wilgotnych. Skutek był wyborny, grzyby prędko mnożyły się i wygłodzonym dostarczały obfitego jadła.

Po pewnym jednak czasie naród zaczął skarżyć się na zbyt jednostajny pokarm.

— Na odmianę — mówili — przydałyby się nam, choćby raz na dzień, miodowe placki i bażanty!...

— Jest i na to sposób — odparł mędrzec. — W naszych górach znajduje się dużo soli i metali, których potrzebują Androwanie; więc kopcie sól i metale, sprzedawajcie je Androwanom, a od nich kupujcie bażanty i miodowe placki...

Na tę radę Majungowie oburzyli się tak mocno, że o mało nie zabili mędrca. Zwołano starszych, wykonano najpiękniejszy wojenny taniec, odśpiewano i skomponowano kilka nowych poematów na cześć przodków i uchwalono wojnę z Androwanami, dla uzyskania miodowych placków, bażantów, kuropatw i pawich języków.

W wyprawie tej wzięła udział najdzielniejsza młodzież narodu Majungów. Pewnego poranka armia, odbywszy uroczysty taniec z muzyką i śpiewami, wyruszyła na wojnę. Nie było jej tydzień, dwa... Już naród oddawał się najpiękniejszym nadziejom, kiedy w trzecim tygodniu przybiegło kilku niedobitków, wołając, że armia została pokonana i Androwanie gotują się do przejścia gór, co dla Majungów równałoby się ostatecznej zagładzie.

Szczęściem był to fałszywy alarm. Androwanie nie przeszli gór, bojąc się gorączek bagiennych i licząc na to, że prędzej czy później Majungowie w niezdrowym kraju sami wyginą. Swoją drogą, androwańskie wojska rozstawiły się wzdłuż granicy,

chwyciły każdego Majunga, który zabłąkał się, szukając żywności i mordowały go w okrutny sposób. Bywały dni, że na szczytach gór widywano po kilkunastu ludzi, wbitych na pale, nie mówiąc już o tych, którym rozwścieczeni Androwanowie ucinali ręce, wydłubywali oczy albo wyrywali języki i tak okaleczonych odsyłali za góry.

Skutkiem prześladowań Majungowie coraz gęściej skupiali się na bagnach, które zabezpieczały ich przed niemiłosiernym wrogiem. Ale wtedy wybuchły między nimi zaraźliwe choroby i mnóstwo ludzi zepchnęły do przedwczesnego grobu.

W tak ciężkim położeniu starsi Majungów znowu zwołali wielką radę. Tym razem odtańczono wszystkie wojenne tańce, odśpiewano wszystkie hymny o bohaterskich przodkach, ułożono nowe poematy na cześć bohaterów, którzy wcale nie istnieli, i wydano dwie uchwały. Po pierwsze, ażeby wobec nieba, ziemi, ognia i morza w jak najuroczystszy sposób wykląć podłych Androwanów, a po wtóre, ażeby dla przebłagania zagniewanych bóstw, młodzież, nie mająca lat trzynastu, dobrowolnie ofiarowywała swoje życie.

— Im więcej będzie ofiar — mówili przywódcy — tym większe klęski spadną na przewrotnych Androwanów i tym rychlej ustaną choroby zabijające Majungów.

Na takie wezwanie kilkuset dwunasto- i trzynastoletnich chłopców odebrało sobie życie. Mimo to Androwanom nie stało się nic złego, owszem, mieli

w tych czasach doskonale urodzaje. Gorączki zaś, które trapiły Majungów, nie tylko nie ustały, lecz przeciwnie — wzmogły się i już nie było rodziny, która nie utraciłaby paru członków.

Wtedy zrozpaczony naród widząc, że nie pomagają ani tańce, ani gra na harfie i poematy, ani nawet ofiary z dzieci, zwrócił się znowu do mędrców i usłyszał nieoczekiwaną odpowiedź:

— Szukajcie ziół, które mają włochate liście i pachną jak wanilia; suszcie je, gotujcie i pijcie po dwa razy dziennie, a gorączka ustąpi.

Naród usłuchał mędrców, pił ziółka i od jednej pełni księżyca do drugiej pozbył się choroby. Wówczas najroztropniejsi z Majungów zaczęli przypuszczać, że jednak w sprawach tego świata więcej znaczy mądrość, aniżeli wojenne tańce lub gra na harfie i flecie. A zrobiwszy to spostrzeżenie, przypomnieli sobie dawniejsze rady mędrców.

Więc jedni wzięli się do osuszania bagnisk i sadzenia drzew na nowej ziemi, inni kopali sól, a inni zaczęli wydobywać użyteczne metale. Znaleźli się w końcu i tacy śmiałkowie, którzy spróbowali sprzedawać Androwanom sól i metale, ażeby w zamian kupować od nich suszone mięso, tkaniny i placki.

Ale rozwścieczeni Androwanowie mordowali kupców majungowskich albo wyzyskawali ich w niegodny sposób. Nadto zapowiedzieli, że handel może odbywać się tylko na granicy i że ten z Majungów, który ośmieliłby się wejść do wsi lub miasta androwańskiego, zostanie wbity na pal.

— Nie chcemy do domu puszczać wrogów!... —
mówili.

Teraz nienawiść przerwała wszelkie stosunki między dwoma narodami, a jej skutkiem było to, że Androwanowie musieli obchodzić się bez metali i jadać potrawy bez soli, a Majungowie cierpieli głód i umierali w wielkiej liczbie. Już było ich ledwie dziesięć tysięcy, gdy w kraju południowym rachowano ich na sto tysięcy.

Oczywiście zginęliby w ciągu dwu lub trzech pokoleń, gdyby nie zdarzył się wypadek nadzwyczajny.

Dzięki okrutnemu prowadzeniu wojny, w kraju Androwanów leżało mnóstwo ludzkich zwłok, pogrzebanych niezbyt głęboko. Gdy więc mocniej przygrzało słońce, rozmnożyły się muchy i pasły się nieboszczykami, a następnie do żywych niosły zarazę.

Skutkiem tego między Androwanami wybuchła dziwna choroba: na ciele ludzi zdrowych ukazywały się plamy sinawe, potem guzy, które następnie zaczęły się rozkładać. Żywi gnili, nieraz przez kilka miesięcy, dopóki nie zabrała ich śmierć, pełna cierpień.

Wiadomość o tej klęsce prędko doszła do ziemi Majungów i obudziła wielką uciechę. Znowu zwołano radę wielką, na której, po wykonaniu uroczystych tańców i odśpiewaniu hymnów, przywódcy oświadczyli, że choroba, nękająca Androwanów, jest następstwem ich zaklęć.

— Wkrótce wyginą nasi nikczemni wrogowie, a my odzyskamy ziemię, która rodzi tłuste bażanty i miodowe placki.

Ale lud, po tylu doświadczeniach, już nie dowierzał swoim bohaterskim przywódcom i zapytał o zdanie mędrców.

— Nie mamy z czego radować się — odpowiedział jeden uczony — gdyż choroba, która dziś zabija Androwanów, jutro zacznie mordować nas. I dlatego pozwólcie, ażebym poszedł do nich i zaniósł im potrzebne lekarstwa.

W zgromadzeniu wybuchnął niepokój, odezwały się głosy: „Zdrajca!... Nie ma wstydu!... Chce ratować nieprzyjaciół, przeciw którym występują sami bogowie!...” Ale większość głosów oświadczyła się za projektem mędrca; strach bowiem przed ohydą chorobą był silniejszy od nienawiści.

Wojska Androwanów, stojące wzdłuż granicy, w pierwszej chwili chciały zabić mędrca, który niósł lekarstwo z ziemi Majungów. Lecz ponieważ kilku żołnierzy było dotkniętych chorobą, więc zażądano, aby mędrzec przede wszystkim na nich wypróbował swoich środków. Uczony zgodził się na propozycję, zaczął leczyć pacjentów, a gdy po kilku dniach zagoiły się ich rany i znikły guzy, gdy ustąpiła gorączka, a chorzy odzyskali sen i apetyt, Androwanowie wpadli w nieopisany zapał. Samego mędrca, jego naczynia i wozy ziół nieśli na własnych tarczach, a po drodze wołali do ludu:

— Oto zbliża się zbawca, przed którym uciekają śmiertelne guzy!...

Był to rzeczywiście pochód triumfalny. W każdej wsi zastępowali mędrcomi drogę chorzy; on zostawiał

im napój tajemniczy, kazał się im kąpać, jadać mało mięsa, a dużo owoców i — w ciągu kilku dni usuwał cierpienie. W końcu zaczęło napływać tylu pacjentów, że mędrzec, zanim dojechał do stolicy Androwanów, musiał sprowadzić ze swego kraju kilkunastu pomocników. Niedawni wrogowie obsypywali ich błogosławieństwami i cennymi podarunkami, całowali ich szaty i padali przed nimi na twarze.

W pół roku Androwanowie zostali uratowani od szkaradnej klęski, a w nagrodę zobowiązali się szanować życie każdego Majunga, dopuszczać ich kupców do wnętrza kraju i — prowadzić z nimi handel uczciwy. Majungowie mieli dostarczać soli i metali, Androwanowie żywności i odzieży.

Gdy mędrcy wrócili do rodaków i pokazali im traktat, partia wojenna nazwała ich zdrajcami.

— Za taką usługę — wołano — powinniście byli żądać, co najmniej, zwrócenia wszystkich dóbr, jakie nam zagrabili ci złodzieje!...

Ale większość Majungów z zadowoleniem przyjęła traktat, odgadując instynktem, że on, jeżeli nie zwraca dóbr straconych, to przynajmniej ubezpiecza naród od głodu.

Od tych wypadków upłynęło tyle lat, że pod wpływem ciężkich doświadczeń Majungowie całkiem zmienili swoje poglądy na życie. Zamiast do harf, zabrali się do motyk, zamiast tracić czas na tańcach wojennych, zaczęli kopać rowy i sadzić drzewa, a

zamiast opiewać urojonych bohaterów — badali otaczającą ich naturę.

Dzięki temu — wyschły bagna, ustąpiły gorączki, a ziemia pokryła się jarzynami i owocami. Naród Majungów zamiast z dziesięciu tysięcy skazanych na zagładę cherlaków składa się z trzystu tysięcy zdrowych, pięknych i potężnie zbudowanych obywateli. Ich twórczy geniusz od muzyki i poezji zwrócił się do odkryć i wynalazków, na wyspie zapanował spokój, a Androwanowie za największą chlubę poczytują sobie, jeżeli jaki Majunga raczy między nimi zamieszkać i pracować.

Od tej pory na sztandarze Majungów, zamiast lwa ze zmiim ogonem i mieczem w łapie, znajduje się taki napis:

„Potrzeba jest mocniejszą od nienawiści; praca — lepszą od najkorzystniejszej wojny”.

Bolesław Prus
Wojna i praca

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-269-2

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE
www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl